

# Litewskim tropem Wańkowicza

W ubiegłym roku ziemię łódzką reprezentowała poetka Maria Duszka, a w tym roku zaszczyt ten przypadł w udziale piszącemu te słowa i to nie przez jakieś szczególne zasługi. Po prostu Mieczkowski zwrócił uwagę na moje eseje publikowane od lat w wielu polonijnych magazynach. Tak literackie ścieżki zaprowadziły mnie i trzydziestu innych twórców z Polski, USA, Ukrainy i Niemiec do urokliwego wiosną Wilna.

Hasłem tegorocznej edycji festiwalu było „125-lecie urodzin Melchiora Wańkowicza”. Impreza rozpoczęła się 28 maja mszą świętą w kościele franciszkanów, a w dniu następnym, zgodnie z wieloletnią tradycją, spotkaliśmy się z miejscowymi polskimi i litewskimi twórcami przy pomniku Adama Mickiewicza.

Punktem kulminacyjnym była autokarowa wyprawa po Wileńszczyznę i Kowieńszczyznę śladami Wańkowicza. Wycieczkę spinały dwa ważne miejsca z nim związane - Lewidany (lit. Levydonis) pod Wilnem i leżące nad Niewiażą koło Kowna Jodańce (lit. Juodoniai). Lewidany to dawny majątek Wańkowiczów, gdzie pisarz był u spokrewnionej z nim Maryli z Wańkowiczów Kiełczewskiej. Dziś po tej posiadłości niestety nie ma już śladu, dlatego całą nadzieję pokładaliśmy w zobaczeniu Jodańców, majątku, który w latach międzywojennych należał do Melchiora i jego ciotki Reginy. W latach 20. Wańkowicz przekradał się tam wraz z żoną i córkami z Wilna przez litewską granicę, by odwiedzić swych krewnych. Wspominał tamten czas dosadnie i z sobie tylko przyrodzonym humorem w powieści „Ziele na kraterze”: „Jodańce to był majątek przypadły nam z podziału matczynych Nowopotrzeb. (...) Królowała na nich ciotka Regina, ongiś produkt sacrecoeurski z czterema obcymi językami i czterdziestu czterema fumami, obecnie kniahini sroga, w jałowicznych butach chadzająca do udoju”.

Rok przed wybuchem wojny, gdy przywrócono stosunki dyplomatyczne między Polską i Litwą, Wańkowicz zorganizował w Jodańcach spotkanie kilkudziesięciu polskich i litewskich pisarzy. Jak wspominał w „Tędy i owędy”, „główną atrakcją był konkurs, kto zje najwięcej kołdunów”.

Wioska o nazwie Juodoniai na szczęście jeszcze istnieje (choć ciężko do niej dojechać) i niektórzy miejscowi kojarzą nawet nazwisko Wańkowicza. Niestety, z dworu pozostały tylko symboliczne trzy kamienie, a jedynym śladem pięknego niegdyś dworskiego parku jest niewielki staw. Doliczyłem się w nim czterech żab smętnie kumkających nad bezpowrotnie minioną świetnością tego miejsca.

W poszukiwaniu śladów po Wańkowiczu przez cały tydzień towarzyszyła nam mieszkająca dziś w Stanach Zjednoczonych Aleksandra Ziółkowska-Boehm, która przez ostatnie lata życia pisarza była jego asystentką i pomagała mu dokończyć - mimo jego ciężkiej choroby - pracę nad „Karafką La Fontaine'a”. To właśnie Ziółkowskiej, z wdzięczności za tę pomoc, twórca zapisał w testamencie swoje prywatne archiwum, a dzięki takim zasobom powstało w ostatnich latach jej kilka interesujących książek o pisarzu.

Ciekawostką nie bez znaczenia jest fakt, że pani Ola jest z pochodzenia łodzianką i podczas gdy ja w latach 1968-1973 studiowałem na UŁ germanistykę, ona w tym samym czasie była studentką polonistyki. Z pewnością nie raz mijaliśmy się w holu BUŁ czy w słynnym klubie „Pod Siódemkami”, wcale się przy tym nie znając. Do łódzkich korzeni nawiązuje jej książka „Ulica Żółwiego Strumienia”, a w 2004 roku w konkursie portalu „Historia Łodzi” pt. „Wybieramy najwybitniejszych łodzian” Aleksandra Ziółkowska zajęła drugie miejsce.

Przy okazji naszego pobytu nad Niewiażą, którą polski czytelnik zapewne kojarzy z fikcyjną rzeką

Issą, wymyśloną przez Czesława Miłosza na potrzeby jego powieści „Dolina Issy”, wpadliśmy na chwilę do tzw. Doliny Mickiewicza w Kownie. To mały laszek na peryferiach miasta, w maju pełen komarów (!), w którym młody pan Adam, wtedy nauczyciel miejscowego gimnazjum, uwodził piękną Karolinę Kowalską, żonę powiatowego lekarza. Ich burzliwy romans nie był wolny od tragicznych rozstań i nagłych namiętnych powrotów i choć Karolina starsza była od Adama o parę lat i miała wtedy już troje dzieci, to, jak widać, porywczemu romantykowi wcale to nie przeszkadzało. Szkoda, że ten pikantny wątek biografii wieszczą jest na ogół skrzętnie przemilczany przez naszych polonistów.

Ostatnim, za to stałym, punktem festiwalu była nawiązująca do przedwojennych spotkań twórców tzw. Środa Literacka przy „Celi Konrada” w podwórzu klasztoru Bazylianów. Miejsce to uznawane jest przez tradycję za celę, w której naprawdę przetrzymywano Mickiewicza podczas wileńskiego procesu filomatów.

24. „Majowi nad Wilią” towarzyszyło wiele innych ciekawych inicjatyw, jak konferencja naukowa, wystawa fotograficzna, kiermasz książek, przegląd filmów polonijnych „EMIGRA” czy spotkanie z prezesem Związku Pisarzy Litwy Ananasem Jonynasem i jego zastępcą Birutė Jonuškaitė.

A pełnię szczęścia dało uczestnikom zakwaterowanie w uroczym hotelu Pan Tadeusz przy Domu Kultury Polskiej w Wilnie. Imprezę zakończyła biesiada twórców w Polskiej Galerii Artystycznej „Znad Wilii” połączona z degustacją wileńskich potraw i nie tylko! Miejmy nadzieję, że w przyszłym roku znowu któryś z łódzkich dziennikarzy, związany twórczo z Kresami, dostanie zaproszenie do reprezentowania naszego województwa na tym niepowtarzalnym wileńskim festiwalu.

**Andrzej Sznajder**